

JAKUB MALIK

### STANISŁAW FITA (1932-2011)

Pamiętamy go dobrze. Jak idzie na wykład, w krawacie, szarej lub brązowej marynarce, z nieodłączną kartonową teczką z notatkami (teczka musiała być kolorowa). „Na wykładzie trzeba mieć notatki, inaczej wykładowca wygląda niepoważnie, jakby chciał zbyć studentów byle czym” – pouczał mnie wielokrotnie. Albo siedzącego w sercu polonistycznego wrzenia – na zapleczu biblioteki zakładowej, na swoim „miejscu przewodniczenia”, oczekujący na krótką wymianę zdań z Danusią Paluchowską (jak niezmiennie nazywał Panią Profesor, swoją koleżankę z roku). Oczywiście z rozbrajającym stwierdzeniem, które jest notabene cytatem z teźże koleżanki i jako skrzydlate słowo weszło do naszych rozmów: „Przecież wiesz, jak nie cierpię gadulstwa. Tępię gadulstwo!” Lub przedstawiającego historię polonistyki w anegdotach, z odpowiednią modulacją głosu, talentem naśladowczym, nieskończoną pamięcią. Lub też idącego na obiad do uniwersyteckiej stołówki („Dzisiaj rumbordzka, zupa pozytywistycznych biedaków. Ale obiad bez zupy – to nie obiad” – twierdzenie nie do podważenia, zwłaszcza w kontekście barszczu z kołdunami). Albo szykującego się do kolejnej wycieczki. „Jedziemy do Puław. Puławy zawsze wita się ochoczo! Kto to napisał?” „Andriolli, panie profesorze.” „No, takie rzeczy się pamięta”. Podobnie jak – cytując Prusa – „około południa uspokajaliśmy rozklekotane nerwy widokiem Wąwolnicy”. To jadąc do Kazimierza, z postojem przy cmentarzu włostowickim celem odwiedzenia Cymanów, wujostwa Prusa. Lub w sali 110 czekającego na uspokoi-

jenie się studentów i rozpoczynającego wykład niezmiennym: „No, widzę, że już mogę...” Profesor. Tak go będę zawsze nazywał. Nic tego nie jest w stanie odwołać, zmienić, przewartościować.

Wspomnienie o Profesorze można zacząć też od paradoksu, który wielu może wydać się nie na miejscu: jego odejście wyznacza koniec wieku XIX. Profesor Stanisław Fita zmarł 15 czerwca 2011 roku i ta data to moment, gdy odszedł ostatni „świadek” XIX wieku. Nie z powodu długowieczności, ale z powodu miłości i ogromnej pamięci, jaką posiadał. Profesor był rzeczywiście niewyczerpaną skarbnicą wiedzy o najmniejszych nawet niuansach czasów Prusa i Orzeszkowej. Wiedział o nim wszystko: od idei politycznych i społecznych, jakie kształtowały naówczas Europę aż po ceny wynajmu mieszkań w Warszawie i rozkład jazdy pociągów Kolei Nadwiślańskiej. To powodowało, że rozmowy z nim były pasjonującymi podróżami w czasie, że postaci wypełniające ulice, kawiarnie, salony i redakcje w Warszawie (choć nie tylko) II połowy XIX wieku stawały się bliskie, żywe; o nich mówiło się jak o bliskich znajomych, biadając nad ich złymi przywarami, ale i doceniając zalety. A gdy już przyszła pora na ukochanego Prusa... Tu zaczynał Profesor swój koncert – kameralny i skromny, bo przecież sam taki był, ale niezmiennie arcydzielny i niepowtarzalny. Ileż razy idąc przez Lublin, Warszawę czy Nałęczów byłem słuchaczem zaimprovizowanych krótkich wykładów dotyczących poszczególnych miejsc, faktów, zbiegów okoliczności. Ile razy byłem też z tych realiów przeegzaminowany... A przecież Stanisław Fita nie był anachroniczną postacią rodem z muzealnych zbiorów, lecz człowiekiem żywym, zawsze skorym do podejmowania nowych wyzwań, cieszącym się na nieznanne przedsięwzięcia. Ostrożnym, ale zawsze ciekawym świata. Niezmiennie skorym do żartów. Życiowym optymistą. Miłośnikiem ludzi. (Najbardziej pejoratywne określenie – że ktoś jest „jakiś taki”, podobno wzięte od jego ciotki).

Cała jego działalność naukowa była w pewnym sensie objaśnianiem świata, który odszedł, objaśnianiem i porządkowaniem tego, co zostało po wieku XIX. Stąd jego wielkie przedsięwzięcia, jak np. *Kalendarz życia i twórczości Bolesława Prusa*. Dzieło, bez którego współczesna prusologia byłaby niemożliwa – a dlaczego? Dlatego, że udało się zgromadzić korpus najważniejszych faktów (podkreślmy – nie domysłów, lecz faktów) z biografii pisarza, który fakty swojego życia skrzętnie ukrywał. Podobnie – rzecz wydawałaby się niemożliwa – próba (jakże udana!) odtworzenia „dziejów duszy” autora *Lalki*; czyniona wbrew obiegowym opiniom, wbrew powszechnemu mniemaniu. O tym tekście muszę wspomnieć, bo jest tym, co Profesor w swoim dorobku

– obok *Kalendarza* – cenił najbardziej, a mianowicie o studium *Pozytywista ewangeliczny*.

Fakty z jego życia naukowego mówią same za siebie. Związany z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim od 1952, gdzie ukończył pod kierunkiem prof. Feliksa Araszkiewicza studia w 1957 r. Kolejne stopnie naukowe zdobywał w Poznaniu – doktorat w 1969 przygotowany pod opieką prof. Zygmunta Szweykowskiego i habilitację – w Warszawie w 1978 roku. W 1988 uzyskał tytuł profesorski, od 1992 roku był profesorem zwyczajnym. Twórca Muzeum Bolesława Prusa w Nałęczowie, które było w pewnym sensie jego „oczkiem w głowie”. Zasłużony działacz Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Wieloletni kierownik sekcji filologii polskiej KUL (był nim także, kiedy rozpoczynałem studia). Członek Komitetu Nauk o Literaturze Polskiej Akademii Nauk. I jeszcze na dodatek niestrudzony recenzent doktoratów, habilitacji, wniosków o tytuł profesorski – to robił niemal do ostatnich chwil życia. A wcześniej ceniony i bardzo rzetelny dydaktyk, promotor wielu dziesiątków prac magisterskich, sumienny wykładowca. Stanisław Fita wypromował 9 doktoratów, które bez jego wsparcia nie byłyby przedsięwzięciami na wysokim poziomie. Profesor cieszył się sukcesami swoich uczniów, stąd szczególną radość sprawiły mu trzy habilitacje osób z grona jego doktorów.

A z drugiej strony to człowiek niezwykle subtelny, nie dążący do szczytów czy godności; wręcz przeciwnie, raczej ich unikający, raczej preferujący cichą pracę organiczną. Znana była jego umiejętność działania koncyliacyjnego, umiejętność czynienia pokoju, choć niejednokrotnie musiał zająć stanowisko w sposób zdecydowany. To, co nas fascynowało w nim szczególnie, to jego wielka skromność, wielka pokora wobec świata, świadomość własnych ograniczeń. Profesor nigdy nie był człowiekiem, który stawiał siebie na pierwszym miejscu. Nie dążył też, aby być szefem dużego zespołu ludzi, aby masowo oddziaływać na otoczenie. Jego metoda pracy była zupełnie inna, realizowała się w bezpośrednim spotkaniu, rozmowie, często familiarnej, prowadzonej swoim duktem, z pełnymi uroku i *esprit* dygresjami. Profesor kształtował swoich uczniów nie *ex cathedra*, ale w osobistym kontakcie. I zawsze miał dla nas czas. Zawsze znajdował sposobność, żeby porozmawiać, wysłuchać i dyskretnie, bez narzucania swojego zdania, doradzić.

Profesor zarażał nas swoim entuzjazmem i optymizmem, swoją pasją poznawczą i, jak się nam wydawało, niespożytą energią. Podziwialiśmy nie tylko jego erudycję, fenomenalną pamięć, umiejętność syntetycznego myślenia, ale też choćby radość z podróżowania, tego dalekiego i tego bliskiego. Widzieliśmy w nim człowieka w pełni ewangelicznego, pokornego, cichego,

czyniącego pokój, nigdy jednak nie czyniącego ze swojego bogatego życia duchowego sprawy na pokaz. Ceniliśmy jego radość życia. Ceniliśmy jego przyjaźń. I choć nigdy nie starał się ingerować w nasze życie, wiedzieliśmy, jak mocno jest z nami w naszych kłopotach i radościach, że w jakiś sposób jest częścią naszych domów. Był dla nas prawdziwym przyjacielem – wiernym, mądrym i potrafiącym okazać serce.

Po śmierci uczonego zwykle przywołuje się jego publikacje, książki, dzieła, które stworzył, wierząc, że w nich jest życiowa mądrość tego, który odszedł do wieczności. Ale mądrości i dobroci profesora Stanisława Fity nie da się zamknąć w książkach, artykułach czy wykładach. To zostało w nas, w jego uczniach, wychowankach, przyjaciółach. Bo dla naszego Profesora ważniejsze niż to, co napiszemy będzie zawsze, jakimi jesteśmy ludźmi. Dlatego wiemy, iż mimo swego odejścia, jest z nami cały czas.